

Tej książki nie da się nie pokochać absolutną miłością

— „FLUTTERBY BOOKS”

Amanda PROWSE

*Szczypta
miłości*



Amanda
PROWSE

*Szczypta
mitoŹci*

PRZEŁOŹYŁA
Anna Sauvignon



WYDAWNICTWO
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:

A Little Love

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Justyna Yigitler

Korekta: Barbara Walus

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: Svetlana Bondareva, Anton Hlushchenko (Shutterstock.com)

Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © Amanda Prowse, 2014

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Anna Sauvignon

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2017

ISBN 978-83-65740-05-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECIE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiecte

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Prolog

Chodziła po kwadratowym pokoju w tę i z powrotem, bose stopy przywierały jej do drewnianej podłogi. Buzujący w palenisku ogień zdawał się ogrzewać jedynie najbliższą sobie przestrzeń, nie rozpraszając ciepła. W sypialni panował chłód – w każdym razie takie miała wrażenie, dygocąc na całym ciele. Objęła się ramionami, lecz to niewiele pomogło.

Znajdowała się w dziwnym stanie między paniką a histerią i musiała z całych sił walczyć, żeby nie poddać się żadnej z nich, co przywiodło ją na skraj wyczerpania następnego dnia rano. Rano. Wydawało się, że od poranka dzieli ją cała wieczność.

Skóra jej nóg nasączona jedwabistym balsamem lśniła w świetle lampy. To był prosty chwyt, jeden z wielu, których zdążyła się już nauczyć w ciągu ostatnich tygodni. Taki sam jak nakładanie wazeliny na rzęsy, żeby wyglądały na gęstsze, czy splatanie włosów w gruby, luźny warkocz, dzięki czemu układały się w bujne, miękkie fale.

Przycupnęła na pozszywanej z kolorowych skrawków narzucie, a wysłużony materac ugiął się pod jej ciężarem. Westchnęła i wygładziła palcami przód koronkowej koszulki, upewniając się, czy wszystkie perełkowe guziczki są należycie zapięte. Chciała wyglądać schludnie i atrakcyjnie. Przyjrzała się swoim paznokciom i wyczyściła każdy po kolei kciukiem drugiej dłoni.

W miarę jak zapadał zmrok, jej zdenerwowanie rosło coraz bardziej. Zerknęła na zegarek na szafce obok łóżka, żałując, że nie może cofnąć wskazówek i skraćć jeszcze kilku godzin na przygotowanie. Nie żeby to mogło coś zmienić. Tak czy siak w końcu dotarłaby do tego punktu i czułaby się dokładnie tak samo. Miałaby te same mdłości w dole brzucha, ten sam pulsujący szum w uszach i dłonie mokre od potu, który zebrał się w ciekłą strużkę wzdłuż jej linii życia. Przesunęła po niej językiem, zdziwiona, że słonawa wilgoć nie ma przykrego smaku, i wytarła rękę o ramię.

Rozłożyła palce i uważnie przyjrzała się rysie biegnącej w poprzek dłoni. Serce zabiło jej szybciej. Kiedyś żona złomiarza, pani Stanescu, która bez względu na pogodę zawsze nosiła na włosach czarną, grubą chustę, uparła się, żeby powróżyć jej z dłoni. Nachyliła się nad nią z rozklekotanego wózka swojego męża, złapała ją za nadgarstek i szczerząc do niej wielkie, czarne zęby, siłą odgięła jej palce. Trzeba było się skupić na każdej samogłosce, żeby zrozumieć jej twardą angielszczyznę z silnym rumuńskim akcentem. Pani Stanescu powiedziała, że widzi bardzo długie życie, po czym wskaza-

ła drobne, trójkątne wypustki rozsiane równomiernie wzdłuż linii. „To bardzo ciekawe” – powiedziała, dźgając je kolejno czarnym od brudu paznokciem. – „Wzgórki na dłoni mogą oznaczać dwie rzeczy: chwile wielkiego cierpienia albo ogromnej radości. Przesądzają o całym życiu”. Podniosła głowę i napotkała nieruchomy wzrok starej kobiety. Usta jej zadrżały, a źrenice się rozszerzyły. „A co oznaczają moje?” – wyszeptwała niepewna, czy chce usłyszeć odpowiedź. Pani Stanescu nawet nie drgnęła powieka. „Twoje nie są szczęśliwe. Czeka cię życie z sercem zakutym w łańcuchy i oczami matowymi od smutku, który wypełni ci usta goryczą i będzie zatruwał wszystko, czego tylko się dotkniesz. Umrzesz stara i opuszczona, ale przedtem zdążysz poznać smak śmiertelnego strachu”.

Z płaczem uciekła do mamy, która pogładziła jej głowę ukrytą w swoim fartuchu i powiedziała, że to tylko stek nic nieznaczących bzdur i że nie trzeba przejmować się gadaniem zblizowanej pani Stanescu, która pewnie powtarza to samo każdemu. W tamtej chwili ją to uspokoiło, ale często potem nocami, tuż przed zaśnięciem, słowa starej wiedźmy złowieszczo rozbrzmiewały jej w uszach i gdy tylko próbowała wyobrazić sobie życie z sercem zakutym w łańcuchy, w język zaczynały szczypać ją gorzkie iskry, a gardło zaciskało się jej z przerażenia.

Za drzwiami skrzypnął nagle górny stopień schodów, przywracając ją do rzeczywistości. Z ust wyrwał się jej zalekniiony okrzyk, serce w niej zamarło. To już.

– Przepraszam.

Nie wiedziała, dlaczego wyszeptała to słowo i do kogo było skierowane, ale wymówiła je szczerze, z głębi serca. Znowu poczuła wilgoć wewnątrz dłoni i pomyślała o pani Stanescu. Może to było tylko głupie gadanie, ale co do jednego stara czarownica się nie pomyliła. Zamknęła oczy, próbując stłumić narastającą falę śmiertelnego strachu.

Jeden

Pru narzuciła szlafrok na pizamę, wciągnęła na stopy grube skarpety i wymknęła się cicho z mieszkania, starając się nie obudzić Milly śpiącej w drugiej sypialni w głębi korytarza. Bezgłośnie zeszła po schodach do sutereny. Lubiła się tak czasem wymykać do nieczynnej piekarni w środku bezsennych nocy. Towarzyszył temu miły dreszcz podekscytowania.

Budzik miał zadzwonić dopiero za trzy godziny, ale zamiast wtulać twarz w miękkie puch poduszki, krążyła po podziemnych korytarzach i wstukiwiała kody w zamkniętych drzwiach, oglądając się przez ramię przyczołajona na palcach niczym włamywaczka.

Jak zawsze podczas tych nocnych eskapad zapaliła tylko niezbędne światło i przygotowała sobie miejsce do zrobienia babeczek bez nowoczesnych urządzeń i skomplikowanych przepisów, które wypracowały przez lata razem z Milly, a jedynie przy pomocy drewnianej łopatkki i miski kamionkowej, tak jak nauczyła ją babcia.

Zawiązała sobie fartuch wokół talii, po czym ułożyła rzędem na ladzie składniki i przybory. Upewniwszy się, że ma przed sobą wszystko, co potrzebne, poczuła znajomy przypływ energii i entuzjazmu. Taki sam jak wtedy, wiele lat temu. Ogarnęła spojrzeniem bielutką mąkę, cukier i tłustą kluskę margaryny naszykowane na tacy obok wyszorowanej do czysta, połyskliwej miski. Wszystko na nią czekało.

Nucąc pod nosem, wrzuciła margarynę i cukier do naczynia i zaczęła ucierać je na gęstą masę. Rozkoszując się zwirowatym chrzęstem kryształków rozgniatanych łąpatką o śliską powierzchnię z wyżłobionymi rowkami, ugniatała, mieszała i ubijała, aż do zdrętwienia palców, dopóki ciasto nie wzdęło się apetycznie spulchnione bąbelkami powietrza. Następnie do miski trafiło kilka łyżek mąki, kropla aromatu do ciasta, proszek do pieczenia, jajko i stopniowo odmierzone dalsze porcje mąki. Pru nie potrafiłaby dokładnie opisać wzbierającej w niej fali radości i podniecenia, gdy patrzyła, jak poszczególne, sypkie składniki przeobrażają się w aksamitny, białozłoty krem. Nie istniał żaden miarodajny sposób, żeby stwierdzić, kiedy mieszanina jest gotowa. Uciekła się więc do starej, wypróbowanej metody, unosząc łąpatkę nad miską i obserwując opadanie ciasta. Jeżeli ściekało zbyt szybko, było zanadto leiste, wówczas należało dodać więcej mąki i dalej ucierać. Zaś w przypadku, gdy gruby gniecuch nie odklejał się od łąpatki, trzeba było je rozrzedzić i delikatnie roztrzepać. Przy idealnej konsystencji masa odrywała się od łąpatki lekko, acz nieśpiesznie.

Z radosnym wibrowaniem w żołądku obserwowała, jak babeczki rumienia się w piekarniku. Gdy już upieczono stygły na kontuarze, przyrządziła sobie filiżankę mocnej, pachnącej kawy, po czym zabrała się za dekorowanie tak, jak nauczyła ją babcia – oblewając je nieregularnie lukrem, a następnie oprószając lekko rześystym deszczem kolorowej posypki. U babci lukier i posypka należały do rzadkich luksusów. W końcu zatopiła zęby w pulchnym, przepojonym waniliowym aromatem cięcie, rozkoszując się ciepłą, puszystą masą na języku i słodyczą lukru klejącego się do podniebienia. Pochłonęła je szybko i łaskomie, wszystkie, co do jednej.

– Już widzę, jak kręcisz głową i cmokasz z potępieniem, ale proszę cię, nie osądzaj mnie, Alfie! Bywają gorsze słabości – powiedziała w przestrzeń, wznosząc oczy do góry, i z błogim uśmiechem zlizwała resztkę lukru i kilka kolorowych wiórków, które osiadły jej na górnej wardze.

Choć jako właścicielka znanej na całym świecie cukierni Plum Patisserie Pru miała na co dzień dostęp do najbardziej wyrafinowanych słodkości i deserów, nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak ciepłe babeczki według przepisu babci pałaszowane skrycie w środku nocy. Nie tylko ze względu na rozkoszny smak świeżego, wilgotnego ciasta, ale również dlatego, że gdy zamknęła oczy, przenosiła się z powrotem do dawnej, surowej kuchni w Bow*, gdzie jako mała dziewczynka pomagała

* Jedna z ubogich dzielnic we wschodniej części Londynu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

babci przy kulawym stole obitym spłowiałą ceratą. Jeszcze zanim odkryła świat za progiem domu i wiedziona ambicją i marzeniami podjęła mozolną, pełną trudów wspinaczkę na sam szczyt. Znowu widziała babcię stojącą przy płytkim, fajansowym zlewie w poprzecieranej podomce przepasanej różowym fartuchem oraz swoich trzech braci o zapadłych policzkach i czarnych od brudu szyjach, krążących wokół misy i wtykających umorusane palce w gładką masę jedwabistego ciasta, by następnie wpakować je sobie zachłannie do rozdziawionych buzi. Od zapachu złocących się w piekarniku sztabek chcieli im się płakać. W nietypowej dla siebie ciszy zbijali się w gromadkę wokół pieca i czekali.

Po upieczeniu babcia przesypywała ciasteczka z blachy na metalową kratkę do ostygnięcia, a oni trwali nieruchomo odorzeni aromatem kłębiącej się pary. Mijały całe wieki, zanim pozwalała wreszcie wziąć każdemu po jednym. Moment, w którym dostawali do garści ciepły, rumiany biszkopcik, był jak czary z bajki w ich skądinąd mało bajkowym życiu. Do dzisiaj pamiętała tamto upojne uczucie i nic nie świadczyło lepiej o jej późniejszym sukcesie niż fakt, że może bezkarnie wsunąć całą blachę babeczek upieczonych w kuchni Plum Patisserie. Nigdy nie przyznała się nikomu do tych nocnych wypadów. To była jedna z wielu jej najskrytszych tajemnic.

Pru zaśmiała się sama do siebie, siedząc na skraju łóżka kilka godzin później. Rozprowadziła porcję nawilżającego kremu Crème de la Mer na twarzy i szyi. Minęła szó-

sta rano, ale ona działała już na pełnych obrotach, będąc od dawna na nogach. Pomasowała palcami skronie i nastroszyła cienkie, faliste kosmyki, niegdyś puszyste i lśniące. Był to jeden z nawyków, których nabrała ostatnio, odkąd skończyła sześćdziesiąt sześć lat. Tak samo, jak podciąganie palcem brwi, żeby choć przez chwilę odtworzyć duże, szerokie oczy z dawnych lat, zanim jej powieki poddały się nieustępliwemu działaniu grawitacji i zaczęły ciążyć smętnie ku dołowi.

– Kiedyś była ze mnie niczego sobie laska. Nie żebym tak wtedy uważała, mimo zapewnień Trudy. Nigdy nie udało mi się nabrać jej pewności siebie. Kto by to zresztą potrafił? Była niesamowita, prawda? Ile to już lat... Sama nie wiem, Alfie, czemu nagle przyszło mi to na myśl. Nasze mieszkanko przy Kenway Road, moje życie w Earls Court*. Dobrze to były czasy: ciężkie, ale szczęśliwe. Jak z innego świata. Jesteś jedyną osobą, której o tym mówię. Zakładam, że potrafisz dochować tajemnicy, co, mój drogi? – Zwróciła się w stronę kilku oprawionych w srebrne ramki zdjęć stojących na szafce przy łóżku. Konkretnie – do fotografii młodego mężczyzny ze skrzywką w kącie ust, który siedząc okrakiem na motorowerze, spoglądał do tyłu przez ramię. Fotografia była czarno-biała i chociaż zrobiona została dużo później, wyglądała jak z lat sześćdziesiątych. Alfie miał w sobie na niej coś z Jamesa Deana, a może tylko Pru lubiła tak

* Dzielnica Londynu położona na południowy zachód od centrum miasta, dawniej słynąca z intensywnego życia nocnego.

o nim myśleć: jak o zbuntowanym antybohaterze, a nie zatraconym, bezwolnym narkomanie.

Odpowiedział jej uśmiechem zmrużonych oczu znad ciemnych okularów, które zjechały mu na czubek nosa, gdy odwrócił się do obiektywu. Pru uwielbiała ten portret. Nie miała zbyt wielu zdjęć swojej rodziny – kupno aparatu fotograficznego nigdy nie znalazło się na liście priorytetów. Ale ten jego uśmiech i całe otoczenie wskazujące na piękną, słoneczną pogodę pozwalały jej sądzić, że tego jednego dnia był naprawdę szczęśliwy. A przynajmniej w tym konkretnym momencie. Miała nadzieję, że kiedy wszystko wymknęło mu się z rąk, wspomnienie tamtej chwili pomagało mu przetrwać. Teraz milczał jak zwykle.

Ubrana w szarą, dżersejową pizamę i szlafrok, Pru krążyła po mieszkaniu z kubkiem gorącej kawy, nucąc pod nosem. Przechodziła z pokoju do pokoju, odnajdując spokój w tym, że wszystko jest dokładnie tak, jak zostawiła to poprzedniego wieczoru, czerpiąc pewność siebie i siłę z ładu, w jakim żyła, oraz dumę z faktu, że jest właścicielką tylu pięknych przedmiotów. Obrazy wisiały prosto, poduszki były równo ułożone, a ozdoby rozmieszczone ze smakiem. Choć musiała przyznać, że pomijając ewentualność bezczelnego włamania albo naturalnej katastrofy, prawdopodobieństwo, że znalazłaby swój dom w innym stanie, było raczej znikome.

Usiadła przy orzechowym biurku w rogu sypialni i podniosła do oczu wyciąg z banku. Nie przywiązywała już tak wielkiej wagi jak kiedyś do rzędów czarnych cyfr

i kolejnych zer, upewniała się tylko, czy wszystkie opłaty zostały uiszczone, i sprawdzała aktualny stan konta. Dawno minęły czasy, gdy rozpaczliwie grzebała w rachunkach i wydzielala najpilniejsze należności, żeby nie stracić dostawców, odraczała terminy i przekładała zamówienia według ważności, próbując zabezpieczyć pensje pracowników. Już ładnych kilkadziesiąt lat temu dotarła w biznesie do punktu, w którym dochody z działalności zaczęły przewyższać koszty i od tamtej pory proporcje nigdy więcej się nie odwróciły. Odkręciła wieczne pióro Montblanc i postawiła maluteńki krzyżyk przy płatności oznaczonej jako „ŁM”. Czternastego wypłaciła z tego tytułu tysiąc funtów, jak co miesiąc od dziesięciu lat. Żołądek ścisnął jej się w ciasny supel na myśl o łącznej sumie tych przekazów, a do gardła podchodziła zimna fala strachu, więc wołała nawet tego nie podliczać. Złożyła dokumenty i wsunęła do skórzanej aktówki, którą schowała z powrotem do szuflady.

Wzięła pryznic, wysuszyła kasztanowe włosy, równo przycięte w zgrabną, puszystą fryzurę wokół twarzy i zasiadła przy toalecie. Delikatnie musnęła usta szaro-brązową pomadką i ledwie jednym pociągnięciem umalowała rzęsy, po czym spuszyła włosy na skroniach. Nigdy nie wyobrażała sobie siebie jako starszej pani. Gdy za młodu zdarzało jej się myśleć o przyszłości, zawsze widziała się najdalej przed trzydziestką – na tyle dojrzałą, żeby samej o sobie decydować, ale ciągle dość młodą, żeby używać życia. I proszę, oto ledwo może rozpoznać własne odbicie w lustrze. A stało się to ot tak, w gnieniu oka! Wes-

tchnęła, po czym przygryzła górną wargę, żeby napiąć skórę szczęki i szyi tak, jak wyglądała w młodości. Na koniec spryskała się lekką mgiełką Chanel No. 5 i przeszła do garderoby. Wybrała granatowe spodnie i białą, jedwabną bluzkę, którą przystroiła kilkoma sznurami pereł opadającymi swobodnie na jej niewielki, podniesiony biust. Wsunęła stopy w granatowe mokasyny, które chętnie nosiła przy takiej pogodzie jak dzisiaj.

Wstrzymała oddech i podciągnęła roletę. Przy krawężniku stała na światłach awaryjnych biała furgonetka, która przywiozła Guy wszystko, czego potrzebował do pracy w kuchni i za ladą cukierni. Chodnikiem po drugiej stronie, trzymając się pod ramię, maszerowało chwiejnym krokiem dwóch mężczyzn w garniturach i luźno zwisających krawatach. Najpewniej wracali do domu tą wczesnoporanną porą. Pru uśmiechnęła się. To była jej Curzon Street, taka, jaką zostawiła ją wczoraj.

Cały czas nie mogła pozbyć się obawy, że któregoś dnia po podniesieniu rolet ujrzy pod sobą gwarny ruch Kenway Road w Earls Court, kilka kilometrów dalej, i okaże się, że odniesiony sukces, kamienica w Mayfair, włoskie, marmurowe posadzki na podłodze, ekspres do kawy i osobna garderoba tylko jej się przyśniły. A tak naprawdę ciągle tam mieszka i wiezie tamto życie – w brudzie i niedostatku, chociaż jakże fascynujące dla młodej, przebojowej dziewczyny o rezolutnym spojrzeniu, którą wtedy była.

W dniu, kiedy stanęły z Milly przed sześciopiętrową kamienicą przy Kenway Road, były gotowe na wszyst-

ko, wolne od wątpliwości i obaw, które dały o sobie znać dopiero znacznie później, wraz z wiekiem. Był to ostatni adres na długiej liście pokoi na wynajem, które pozakreślały w gazecie po skrętnym przejrzeniu ofert, i gdy tylko przekroczyły próg, wiedziały, że dobrze trafiły. Drzwi otworzyła im elegancka, wytworna kobieta ubrana w jedwabne kimono, paląc cygaretkę przez lufkę z kości słoniowej. Przedstawiła się jako Trudy. Zajmowała mieszkanie na ostatnim piętrze. Pru wyjrzała przez jedno z dwóch wysokich okien osadzonych w głębokich wnękach na podeście i jej oczom ukazała się wspaniała panorama londyńskich wież sięgająca aż poza Fulham. Z zachwytem błędziła wzrokiem po dalekiej, najeżonej ceglanyimi kominami linii widnokregu. To tu, pośród dachów zachodniego Londynu, u boku tej śmiałej, obytej w świecie kobiety miała się rozpocząć ich wielka życiowa podróż. Pru podążyła korytarzem za Trudy, podziwiając jej pewny siebie, pełen wdzięku krok w butach na wysokich obcasach i otaczającą ją aurę seksapilu. Postanowiła, że nauczy się chodzić w ten sposób, a gdy będzie miała dość pieniędzy, kupi sobie parę czerwonych szpilek ze skóry, takich jak te należące do Trudy.

„Kim jest David Parkes?” – zapytała Milly, przystając z wyciągniętym palcem przed oprawionym w ramki dyplomem wiszącym na ścianie. „David był... ekhm... moim bratem” – odpowiedziała Trudy, marszcząc starannie wyprofilowane brwi. – „Umarł kilka lat temu”. „Tak mi przykro” – pośpieszyła Pru, gromiąc Milly spojrzeniem. Kuzynka zawsze musiała chlapanąć coś bez zastanowienia.

Opowiedziały Trudy, że marzą o otwarciu własnej piekarni połączonej z cukiernią i kawiarenką, których pieczywo i desery nie miałyby sobie równych w calutkim Londynie.

W przeciwieństwie do wszystkich innych, którym dotąd zwierzyły się ze swoich planów, Trudy nie parsknęła ironicznym śmiechem, lecz pokiwała głową, wypuszczając z ust zgrabne kółka dymu. Potem zacisnęła umalowane na karminowo usta i rzekła: „Moim zdaniem ludzie pozbawieni marzeń żyją tylko w połowie, a ja chcę żyć pełnią życia”. Pru była pod wrażeniem. Słowa Trudy zabrzmiały niezwykle poetycko. „Ale same marzenia na nic się nie zdadzą, jeżeli nie będą poparte ciężką pracą. Trzeba mieć marzenia, ale też wyznaczyć sobie drogę, żeby je osiągnąć. Marzeniami człowiek się nie najee ani nie wypcha portfela”.

Pru podświadomie dotknęła ukrytej w kieszeni portmonetki, w której znajdowały się pieniądze na czynsz za pierwszy tydzień, karnet autobusowy i jej szczęśliwa moneta z dziurką w środku. Tyle właśnie wynosił ich cały wspólny majątek. Skinęła głową, rozmyślając o tym, w jaki sposób mogłyby utorować sobie drogę do wymarzonego celu – tę, która ostatecznie doprowadziła je do lśniącej witryny Plum Patisserie.

„A pani o czym marzy?” – zapytała Milly znad ramienia Pru. Trudy przeniosła uwagę na młodszą z dziewcząt i niespiesznie zaciągnęła się cygaretką. „O odrobinie miłości” – odparła, po czym odwróciła się i postąpiła kilka kroków naprzód. – „Jak każdy”.

Droga, kochana Trudy.

Pru zamknęła drzwi swojej sypialni i wetknęła głowę do kuchni, gdzie odnalazła Milly ubraną w jednoczęściowy, cętkowany dres.

– Co ty masz na sobie? – pokręciła głową.

– Niedawno go kupiłam. W życiu nie miałam nic wygodniejszego! Możliwe, że nigdy już go nie zdejmę.

– Zrobisz nam świetną reklamę.

Milly zanurzyła pulchny rogalik francuski w filiżance z kawą i wpakowała sobie rozmokłą breję do ust.

– Faj – skrzywiła się Pru.

– Tak się robi we Francji! – zapewniła Milly z pełnymi ustami.

– Być może, ale ty nie jesteś Francuzką, Mills.

– Że co? Chyba żartujesz! *Mon Dieu!* Byłam przekonana, że dzieciństwo w Bow to tylko niecny wybryk mojej wyobraźni, a tak naprawdę wychowałam się na wytwornych przedmieściach Paryża! – Milly mrugnęła figlarnie.

Pru z uśmiechem opuściła mieszkanie i zeszła po schodach na parter. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi do kawiarni. Uzgodniły z Milly, że będą na zmianę dokonywać porannego obchodu i w tym tygodniu przypadła jej kolej. Prawdę mówiąc, po dwudziestu latach prowadzenia biznesu i przy zaufanym zespole pracowników ze sławnym Guy Baudinem na czele, rzecz ograniczała się do dyskretnego zaznaczenia obecności szefowej przez przywitanie wszystkich po kolei i rzutu oka na postępy w przygotowaniach, a nie rzeczywistej pracy.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Kolejowa 12B/12

15-701 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059